GONIEC ZAMOYSKI

NUMER 98 XVIII LO IM. JANA ZAMOYSKIEGO W WARSZAWIE

Poznaj naszych nauczycieli

Zamoyskiego tworzą nie tylko uczniowie, ale również nauczyciele. Dzięki wspólnej współpracy nasza szkoła może pochwalić się wysokimi wynikami matur. Poznajcie opinię różnych nauczycieli na temat tego, co uważają o naszej szkole i uczniach do niej uczęszczających.

P. prof. Magdalena Szczygielska:

Ja w tej szkole pracuję już ponad 30 lat i jest ona dla mnie ostoją tradycji oraz kuźnią przyszłych elit polskich, dlatego musi utrzymywać odpowiednio wysoki poziom, żeby maturzyści mogli dostać się na najlepsze uczelnie w kraju i za granicą. Patrząc na uczniów, mogę powiedzieć, że ci, którzy tu przychodzą, to są właśnie ci, którzy mają ogromny potencjał i ten potencjał mogą realizować nie tylko poprzez naukę i przygotowanie do matury; szkoła oferuje również możliwość realizowania się w bardzo wielu dziedzinach. Kładziemy również nacisk na wykształcenie świadomego obywatela i człowieka wrażliwego na sprawy innych, dzięki działającemu u nas wolontariatowi. Polecam tę szkołę jako taką, która daje możliwość realizowania swoich pasji.

P. prof. Adam Skalmierski:

Cenię sobie u uczniów Zamoyskiego, przede wszystkim, wysoki poziom kultury – uczniowie są bardzo grzeczni – oraz wysoki poziom wiedzy i umiejętności. Przychodzą z bardzo dobrym przygotowaniem po szkole podstawowej, są zdolni, pracowici i dzięki temu przyjemnie się z nimi współpracuje.

P. prof. Hanna Putsiato:

Bardzo lubię uczyć w tej szkole. Uważam, że uczniowie są naprawdę wspaniali. Bardzo dobrze się z nimi pracuje, są chętni wiedzy. Myślę, że potrafią bardzo dobrze współpracować, i to mi się podoba. W szkole panuje naprawdę świetna atmosfera, są tu uczniowie, z którymi to sama przyjemność pracować. Uważam, że nie ma tu przypadkowych uczniów, tylko są młodzież, która wie, czego chce i co chce osiągnąć w życiu i dlatego wybrała tę szkołę.

Wywiad z Samorządem Uczniowskim

Jeszcze przed feriami udało nam się dotrzeć do Samorządu Uczniowskiego naszej szkoły, który zgodził się udzielić nam wywiadu. Spotkaliśmy się w bibliotece, z dala od hałasu, aby spokojnie porozmawiać.

Karol Wysocki – przewodniczący, Natalia Dutkiewicz, (Natalii Kazimierczuk nie udało się dotrzeć) oraz Natasza, która nie jest bezpośrednio zaangażowana w działania prezydium okazali się być bardzo uprzejmi i wyrozumiali dla nas, gdyż był to nasz pierwszy tego typu wywiad.

W odpowiedzi na pytanie dotyczące dotychczasowych działań oraz planów na przyszłość Karol opowiedział o aktywnej współpracy z innymi szkołami w celu zrealizowania takich przedsięwzięć, jak międzyszkolne walentynki, które, jak już wiemy, zakończyły się sukcesem oraz zniżki do kawiarni na terenie całej Warszawy, wynikające z przynależności do warszawskiego liceum (podkreślił znaczenie tego działania i stwierdził, że może być ono najważniejszym ze wszystkich).

„Istnieje opcja, że posiadamy zniżki na terenie całej Warszawy i kontaktujemy się z innymi liceami, tworząc pewnego rodzaju wspólnotę polegającą na tym, że uczniowie mają lekkie „ulgi”” – mówi Natasza.

Tego rodzaju współpraca wydaje się być użyteczna, aczkolwiek nie sądzę, żeby wiele osób kiedykolwiek z niej skorzystało.

Oprócz tego zadałyśmy pytanie dotyczące jednego z postulatów samorządu dotyczącego TUSZAMY – firmy umożliwiającej zamawianie jedzenia przez uczniów do szkoły.

„Dyrekcja nie zgodziła się z tego powodu, że... sanepid i to nie jest takie proste” – mówi Karol.

Dopytałam więc, na czym polega owo nieporozumienie z dyrekcją i co oznacza: „to nie jest takie proste”. Na to dostałam odpowiedź, że następnego dnia pojawi się komunikat w tej sprawie i wszystko się wyjaśni, z tego powodu samorząd nie chce zdradzać nic więcej. Komunikat pojawił się miesiąc później. Mało tego, informacje podane w nim były raczej szczupłe, np.: „z przyczyn obiektywnych i niezależnych od nas nie mamy możliwości wywiązania się z postulatu przedwyborczego dotyczącego TUSZAMY”. Miało być wyjaśnienie, a dostaliśmy ogólną informację.

A to ciekawe, ponieważ kolejnym z postulatów partii, do której należy prezydium – DziałaMy! jest przejrzystość pracy samorządu. „O nowościach i wszelkich przedsięwzięciach będziemy was na bieżąco informować” – tak możemy przeczytać na Instagramie partii. Możemy też znaleźć informacje na temat wieczorów filmowych, Walentynek, Andrzejek, wszystkiego, co dzieje się w szkole, oprócz tego, co samorządowi się nie udało, a czego dużo osób wyczekiwało. Jednak na moją sugestię wprowadzenia podsumowań miesiąca w social mediach samorząd nie zareagował optymistycznie, za argument podając, że nie w każdym miesiącu tych działań jest tyle, żeby się nimi pochwalić.

Natomiast swoje ogólne relacje z dyrekcją Karol ocenia jako bardzo dobre: „Polegają one na tym, że samorząd prezentuje im swoje pomysły, a dyrekcja wyraża zgodę lub nie” – mówi.

Basia pyta, czy mają jakieś plany dotyczące nowych przedsięwzięć, których jeszcze nie było.

Karol odpowiada, że przede wszystkim zniżki międzyszkolne, a Natalia dodaje, że mają wiele pomysłów, ale nie będą ich zdradzać, żeby później nie było rozczarowania. Tajemniczo, prawda?

Ogólnie jednak samorząd wydaje się sympatyczny, podkreśla swoje działania jako przede wszystkim dla innych i mówi o tym, że każdy z nich jest uczniem i nie czuje się „wyższą sferą”, wręcz przeciwnie, czuje się jak każdy inny.

W przyszłym roku Natasza i Karol nie będą mogli startować w wyborach, natomiast Natalia z uśmiechem stwierdziła, że ona i Natalia Kazimierczuk zastanowią się nad kandydowaniem w przyszłości.

Partnerzy

BARBARA SZEJNA - REDAKTORKA NACZELNA, AUTORKA „WYWIADU Z WICEDYREKTOR MONIKĄ BŁĄDEK”, „POZNAJ NASZYCH NAUCZYCIELI”

PATRYCJA DUNOVSKA - REDAKTORKA NACZELNA, AUTORKA „WYWIADU Z WICEDYREKTOR MONIKĄ BŁĄDEK”, „WYWIADU Z SAMORZĄDEM UCZNIOWSKIM”, „BIAŁA SZKOŁA”

MICHAŁ DENIZIAK - OPIEKUN REDAKCJI

AGNIESZKA MITURA - OPIEKUNKA REDAKCJI

EMILIA TOŁWIŃSKA - ZASTĘPCZYNI REDAKTOREK NACZELNYCH

ZOFIA KOSTRZEWA - GŁÓWNA GRAFICZKA

WERONIKA RZEWUSKA - KOREKTA, AUTORKA OKŁADKI, „ŻADNYCH WIĘCEJ ŻAB”

ALEKSANDRA SZLACHCIAK - AUTORKA „± 22 DNI”

AGATA SZABAT - AUTORKA „METRO NA GOCŁAWIU TERAZ!!??”, „O WYMIAR WYŻEJ – ROZDZIAŁ III”

PAWEŁ KUPISZ - AUTOR „O WYMIAR WYŻEJ – ROZDZIAŁ III”, „HOLOGRAMY – MIT CZY HIT?”

PRZEMEK DYLAK - AUTOR „HISTORII SZKOŁY”

OLIWIA DĄBROWSKA - AUTORKA „NIEZŁA FAZA”

UCZEŃ DRUGIEJ KLASY - AUTOR „OPINII O SZKOLE”

KONTAKT:

goniec_zamoyski
Goniec Zamoyski
goniec.dysk@gmail.com

Partnerzy

PROJEKT REALIZOWANY I FINANSOWANY W RAMACH PROGRAMÓW „AKTYWNA WRSZAWSKA MŁODZIEŻ” M.ST. WARSZAWA ORAZ „MAM POMYSŁ”.

tik WARSZAWA

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

Wywiad z panią wicedyrektor Moniką Błądek

Pani Monika Błądek pracuje w naszej szkole od tego roku szkolnego. Razem z Patrycją Dunovską postanowiłyśmy przeprowadzić wywiad, w którym pani Błądek odpowie na kilka naszych pytań związanych z szkołą.

Patrycja: Jakie było Pani pierwsze wrażenie, gdy przyszła Pani do naszej szkoły?

P. Błądek: Na pewno rozpierała mnie duma, że mogę tutaj pracować. Potraktowałam to jako prawdziwy zaszczyt. Budynek robi ogromne wrażenie, ale przede wszystkim sama świadomość, że jest to szkoła rankingowa, z ogromną tradycją i historią, budzi respekt. Również pani dyrektor, pracownicy sekretariatu i inne osoby, które napotkałam w szkole, powitały mnie bardzo sympatycznie. To wszystko sprawiło, że weszłam tutaj z dobrym nastawieniem.

Barbara: Czy są pewne sprawy w szkole, które Pani by zmieniła? Jeśli tak, to jakie?

P. Błądek: Do tej pory nie dopatrzyłam się niczego, co należałoby poprawić. Przede wszystkim podoba mi się klarowny schemat organizacyjny tej szkoły. Bardzo dobrze funkcjonuje tutaj system wymiany informacji, system mailowy, system informowania nauczycieli i uczniów. Podoba mi się także nagłaśnianie różnych akcji w mediach społecznościowych przez samorząd uczniowski oraz nauczycieli.

Patrycja: Czy możemy się zapytać, gdzie Pani wcześniej pracowała?

P. Błądek: Jak najbardziej, przez cztery ostatnie lata byłam dyrektorem szkoły podstawowej w gminie Grodzisk Mazowiecki, a wcześniej pracowałam w gimnazjum w gminie Babice.

Barbara: Czy spotyka się Pani z pewnymi negatywnymi sytuacjami, np. z uczniami, którzy nie chcą współpracować lub utrudniają Pani pracę?

P. Błądek: Nie, do tej pory nie spotkałam się z żadną niemiłą sytuacją, bywają sytuacje trudne, w których trzeba problem rozwiązać, ale w tej pracy one się nie zdarzają często.

Patrycja: Co Pani sądzi ogólnie o uczniach tej szkoły?

P. Błądek: Jestem naprawdę miło zaskoczona tym, że uczniowie mają ogromną kulturę osobistą. Chętnie, czasami mniej, czasami bardziej, podejmują dyskusję. Mają też własne pomysły, czasami, jak wchodzę na zastępstwo za godzinę wychowawczą, to uczniowie sami proponują jakiś temat do rozmowy. Jestem naprawdę pod dużym wrażeniem tego, że uczniowie są chętni, widać to, a przede wszystkim są bardzo grzeczni. Wykazują się dużą kreatywnością, ale widzę też ich zmęczenie.

Patrycja: Na jakiej zasadzie działają dwa stanowiska wicedyrektora?

P. Błądek: Wydaje mi się, że jest to w zależności od liczby uczniów lub oddziałów w szkole. Dyrektor ma prawo powołać do pomocy drugiego wicedyrektora.

B. i P.: Dziękujemy za rozmowę.

Opinia o szkole

Jako uczeń Liceum Jana Zamoyskiego uważam, że szkoła ma swoje plusy i minusy, ale ogólnie rzecz biorąc: jest to bardzo przyjazne i dobre miejsce.

Jest to z pewnością szkoła dla osób, które mają chęć do nauki. Poza lekcjami jest wiele różnych kółek i zajęć dodatkowych, więc każdy znajdzie coś dla siebie, a nauczyciele chętnie pomagają zarówno przed, jak i po lekcjach, gdy jest taka potrzeba. Oczywiście: czasami są trudniejsze momenty, kiedy nauki jest więcej, ale tak jest w każdym liceum.

Uważam jednak, że niektórzy nauczyciele przykładają zbyt dużą uwagę do przedmiotów, które nie są rozszerzone, a traktowane są one jak jedne z ważniejszych, gdy w rzeczywistości nie są związane ściśle z danym profilem.

Natomiast dużym plusem są wyjazdy organizowane przez szkołę; może nie odbywają się one za granicą, ale mamy np. wyjazd na narty dla klas drugich, z którego wszyscy wracają zadowoleni. Dla chętnych w maju organizowane są żagle, oraz, oczywiście, gwiazda programu – rejs Pogorią.

Szkoła naprawdę jest przyjazna, ale to zapewne kwestia osobista. Na pewno nie ma nauczycieli, którzy piętnują ucznia za niewiedzę, a najważniejsze jest to, że są oni pomocni, gdy jest taka potrzeba.

Niezła FAZA

Ktoś nas kiedyś okłamał, że żeby mieć kompletny odlot, trzeba sięgać po psychodeliczne substancje, jednak czy spróbowaliście kiedyś osiągnąć kompletnie odmienny, bajeczny stan, przychodząc na Festiwal Artystyczny Zamoyskiej Awangardy? To organizowane co roku w XVIII Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Zamoyskiego wydarzenie jest bramą do całkiem nowej rzeczywistości, w której świat zachwyci was barwnymi światłami i dźwiękami nowatorskiej muzyki młodych, ambitnych kapel. To coś, co zdecydowanie warto przeżyć przynajmniej raz w życiu.

Swego czasu FAZA była festiwalem muzyczno-teatralnym, jednak obecnie skupia się na muzyce i jej twórcach, którzy mają szansę pokazać szerszej publiczności swoje kawałki. Jest to fantastyczna możliwość, gdyż zawsze w czasie festiwalu liceum jest pełne młodych ludzi z różnych szkół, kręgów artystycznych i społeczności. Nigdy nie można narzekać na frekwencję, w dużej mierze dzięki świetnej promocji, ale również ze względu to, iż FAZA jest wydarzeniem, na które chce się wracać. Wielu z przybyłych ma już z niej wspomnienia, które chce odświeżyć.

Uczniowie tzw. Zamoya wkładają mnóstwo wysiłku, by na czas festiwalu ich szkoła stała się magicznym miejscem. Proste, lecz pomysłowe dekoracje, niezwykła atmosfera oraz wystawy plastyczne i fotograficzne na korytarzach to stałe elementy programu. Sala gimnastyczna przeistacza się w kawiarenkę pełną łakoci, która jest również miejscem na odpoczynek i rozmowy. Na każdym kroku znajdą się również okazje do zawiązania nowych znajomości.

FAZA jest swoistym must-have dla kochających muzykę uczniów warszawskich szkół. Jeśli tylko ktoś przymknie oko na możliwe niewielkie obsuwy czasowe i potencjalne problemy techniczne (które z racji ograniczonych możliwości można jak najbardziej wybaczyć), będzie mógł się cieszyć serią koncertów, dzięki którym zapozna lokalne, amatorskie zespoły. Nic, tylko brać znajomych i na własną rękę (a także oko i ucho) przekonać się, że za uczciwą cenę – czyli gratis – można osiągnąć fazę!

Biała szkoła

„Biała szkoła” to doroczny zimowy wyjazd na narty wszystkich uczniów klas drugich. Organizowany jest przez agencję CHRIS, której ośrodek znajduje się w Radkowie, a stok, po którym codziennie się poruszamy, zlokalizowany jest w Zieleńcu.

RELACJA Z WYJAZDU (II TURNUS):

Wyjechaliśmy z Warszawy w niedzielę ok. godziny 8:00, a po przyjeździe na miejsce (ok. 16:00) od razu dostaliśmy zakwaterowanie i zostaliśmy podzieleni na grupy według poziomu zaawansowania jazdy na nartach lub snowboardzie (ankietę na temat wyboru sprzętu i umiejętności dostaliśmy już w autokarze), a następnie zapoznaliśmy się z instruktorami, którzy opiekowali się nami przez cały tydzień.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, pojechaliśmy na stok, aby wypożyczyć sprzęt i zacząć jazdę.

Pobyt na stoku codziennie trwał mniej więcej cztery i pół godziny, z przerwą na odpoczynek.

Instruktorzy bardzo dbali o to, by podszkolić swoich podopiecznych w jeździe – grupy najbardziej zaawansowane uczyły się trików, a grupy początkujące już drugiego dnia wyjeżdżały z oślej łączki, aby rozpocząć naukę na trudniejszych trasach.

Codziennie po powrocie czekał na nas gorący obiad, a wieczorem – kolacja.

Każdego dnia po obiedzie można było wybrać sposób spędzenia reszty czasu wolnego – odpoczynek w pokoju lub wybór zajęć spośród trzech kategorii przygotowanych przez instruktorów: spacery, wyjazd na basen lub wspinaczka. Po powrocie był czas na integrację, a cisza nocna obowiązywała od godziny 22:30.

Największą atrakcją był wieczorny wyjazd na stok, tzw. „nocna jazda”. Cieszyła się ona tak dużym zainteresowaniem ze względu na możliwą dowolność – „narty” mogły mieszać się ze „snowboardem”.

Niestety, stok w Zieleńcu nie jest ratrakowany w ciągu dnia; byliśmy więc zmuszeni do jazdy na zlodowaciałych pozostałościach śniegu, jednak przeżycia były niezapomniane!

Ostatniego dnia jazdy po zejściu ze stoku oddawaliśmy wypożyczony sprzęt, co dzięki zaangażowaniu instruktorów przebiegło bardzo sprawnie.

Powrót zaplanowany był na piątek – udało nam się wyjechać z ośrodka już o godzinie 9.00. Dorobek wyjazdowy szacowano na jedno skręcone kolano i złamaną rękę.

Ogólnie rzecz biorąc, cały wyjazd był doskonale zorganizowany (to zasługa wuefistów oraz pozostałych opiekunów). Atmosfera na zajęciach sprzyjała nauce, posiłki były całkiem dobre, a pokoje przyjemne (wygodne łóżka etc.). Wśród uczniów „biała szkoła” wzbudziła tyle entuzjazmu, że z pewnością pamiętana będzie jeszcze przez długi czas.

Historia szkoły

Historia naszego liceum rozpoczęła się w 1905 r. Wtedy to, w wyniku wystąpień rewolucyjnych i narodowych w Rosji i Królestwie Polskim, car Mikołaj II podpisał reskrypt zezwalający na wprowadzenie języka polskiego do szkół. W tej sytuacji emerytowany oficer wojsk rosyjskich, ale i gorący polski patriota, gen. Paweł Chrzanowski (tablica jemu poświęcona znajduje się na drugim piętrze w budynku szkoły), który po powrocie do Polski w 1903 r. utworzył na ul. Wielkiej (dziś Poznańska) prywatne gimnazjum, postanowił przekształcić je w polską szkołę. Szukając dla niej stałego miejsca, gen. Chrzanowski nabył jeden z domów wznoszonych przy ul. Smolnej 30. Gimnazjum generała Pawła Chrzanowskiego, pierwsza szkoła polska w Królestwie, była w roku 1905 największą szkołą średnią na obszarze wszystkich trzech zaborów.

Po śmierci w 1914 r. gen. Chrzanowskiego i wybuchu Wielkiej Wojny zaczęły się problemy z finansowaniem szkoły. Aby temu zaradzić, zawiązano komitet do kierowania placówką, a pieniądze wyasygnował znany polityk, Maurycy hrabia Zamoyski.

Szkoła przyjęła nową nazwę – Gimnazjum Towarzystwa Szkoły Maurycego hr. Zamoyskiego. Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości na zebraniu Towarzystwa uchwalono zmianę nazwy instytucji na Towarzystwo imienia Jana Zamoyskiego. Szkoła otrzymała więc patrona. W Akcie Fundacyjnym Akademii Zamoyskiej, szkoły założonej przez Jana Zamoyskiego, znalazły się znamienne słowa: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” (obecnie widoczne przy wejściu do szkoły).

We wrześniu 1939 r. uczniowie Zamoyskiego podzielili los innych mieszkańców Warszawy – pozbawionych przez nazistów prawa do korzystania z nauki w polskich szkołach.

Dyrektor Kozicki uzyskał koncesję na prowadzenie tzw. kursów przygotowawczych do szkół zawodowych, były organizowane komplety złożone zazwyczaj z 5 do 6 osób.

Pod koniec roku szkolnego 1940/41 szkolne władze niemieckie zamknęły obie szkoły jawne, powszechną oraz kursy przygotowawcze. Wtedy dyr. Kozicki stworzył nową fikcję. Szkoła nasza stała się filią szkoły powszechnej pani Janiny Górskiej, a dyrektor występował w roli jej pełnomocnika administracyjnego w budynku przy ul. Smolnej 30. W trakcie okupacji około 200 uczniów zdało „wojenną” maturę. Prawie ¼ spośród nich nie przeżyła wojny.

Gmach szkoły przetrwał natomiast tragiczny czas powstania warszawskiego. Dzięki solidnej konstrukcji mury ocalały, wnętrze jednakże zostało spalone. Ocaleniem budynku szkoły po zakończeniu wojny zajęła się grupa ludzi skupiona wokół dyrektora Stanisława Bogdanowicza. W odbudowanej przez nich części gmachu rozpoczęły się zajęcia w roku szkolnym 1947/48. Tę prywatną szkołę nazywano imieniem Wojciecha Górskiego. Na skutek reform oświatowych w okresie stalinowskim przestała istnieć prywatna szkoła na ulicy Smolnej. Przemianowano ją na Państwową Szkołę Ogólnokształcącą Stopnia Podstawowego i Licealnego. W roku 1955 dyrektorem szkoły został Jan Gad – autor słów: „Szkoła jest jak orkiestra. Potrzebny dobry dyrygent, dobry zespół i dobra partytura. Wtedy melodia brzmi pięknie.”

Po odwilży i przełomie październikowym ’56, 12 marca, na mocy decyzji Ministerstwa Oświaty, szkole na Smolnej zostało przywrócone imię Jana Zamoyskiego. W 1960 r. władze oświatowe przychyliły się do wniosku Dyrekcji i Rady Pedagogicznej, aby z co rok liczniejszej szkoły uczynić dwie – podstawową i liceum. W czasie tzw. „Karnawału Solidarności” (1980-81) liceum im. Jana Zamoyskiego, zgodnie ze swoją patriotyczną tradycją, było w awangardzie aktywnych działań opozycyjnych. W przygotowaniach do historycznych wyborów 4 czerwca 1989 r. aktywnie uczestniczyli zarówno nauczyciele naszej szkoły, jak i uczniowie. Wielu z nas było członkami Komisji Wyborczych lub Mężami Zaufania. Anna Radziwiłł (nauczycielka historii w liceum Zamoyskiego) po wyborach została Senatorem RP. Na początku XXI w. opracowano nowy Statut Szkoły, podtrzymujący tradycję Zamoyskiego i odpowiadający wymaganiom współczesności. Powstały klasy autorskie o profilu matematyczno-informatycznym, matematyczno-geograficznym i klasa humanistyczna.

Sektor ciekawostek:

Budynek posiadał m.in. kaplicę wysokości dwóch kondygnacji usuniętą w okresie Polski Ludowej.

W okresie I wojny światowej wprowadzono miękkie, błękitne czapki przypominające legionowe maciejówki jako nieodłączny element uczniowskiego stroju – obecnie używane w trakcie uroczystości.

W latach 30 XX wieku powstało Osiedle Szkolne. Zakupiono posiadłość w miejscowości Dębe Wielkie i można ją nazwać naszą ówczesną “zieloną szkołą”. Ze względu na kryzys gospodarczy w kraju ośrodek został zamknięty pod koniec lat 40.

Szkoła kładła nacisk na samorządność uczniowską. Istniejącą Samopomoc Koleżeńską przemianowano w 1933 r. na Samorząd Szkolny, który wychodził z wieloma inicjatywami, m.in. kółka zainteresowań.

± 22 dni

Upływ czasu jest niezwykle względną i wręcz wredną częścią naszego postrzegania rzeczywistości. Ubiegłe miesiące zdają się często mijać znacząco szybciej niż każdy kolejny tydzień, co w zasadzie sprowadzić można do wniosku, że wszystko, co za nami, przeleciało szybciej niż sygnał świetlny wysłany z planety Ziemia do rakiety w ostatnio przerabianym przeze mnie zadanku z fizyki.

Skąd ta nagła lub nie aż tak nagła, a dopiero teraz przelana na papier refleksja? Z poczucia rychłego końca mojej czteroletniej uczniowskiej kariery. Rychłego końca, który, choć ma być tak bliski, zdaje się nadchodzić tak długo.

Patrząc wstecz, te 3 lata 7 miesięcy i 18 dni [na moment pisania tegoż artykułu] spędzone w Zamoyu przepełnione były emocjami, mnóstwem zdarzeń, projektów, prac twórczych, odkrywania świata, zdobywania wiedzy, ale przede wszystkim poznania siebie. Chociaż mój plan na przyszłość zmienia się średnio co pół roku, to czuję się inną osobą, niż stojąc pod murami szkoły na jednym ze spotkań klasowych, żeby zapoznać się przed początkiem pierwszej wspólnej lekcji. Czuję się bardziej stanowcza, lepiej przystosowana do świata i przede wszystkim uzupełniona, dzięki wielu nawiązanym tu prawdziwym relacjom, których tak bardzo zabrakło mi w podstawówce.

Muszę przyznać, że na tę chwilę tym, co obstawiam, że zostanie w mojej pamięci na najdłużej oprócz „amen" Pana Deniziaka, będą rozmowy. Rozmowy z ludźmi, wszelakie konwersacje, krótkie pogawędki; o niczym, o wszystkim, o czymś nowym, o czymś już opowiadanym, historie.

Te historie są czymś, co w pewien sposób mnie tworzy, buduje, umacnia w poczuciu człowieczeństwa i daje siłę do rozwoju. Najlepsze są zwykle te poznane przypadkiem: wyczytane w starych numerach „Gońca", odkopane pośród zamoyskich memów, znalezione wśród tablic matematycznych anegdoty, czy moje ulubione – zebrane od nauczycieli spotkanych podczas dojazdów i powrotów ze szkoły. Jest coś magicznego w prostych interakcjach z ludźmi, w trzyminutowej pogawędce, w wymianie zdań na korytarzu z kimś poznanym parę lat temu, z kim nie zamieniło się od tego czasu więcej niż ulotnego „hejka". Coś magicznego jest w spokojnym popijaniu herbaty (kubki tylko z przykrywką) ze znajomą we wtorek rano podczas rozmowy o niczym ważnym, ale i o najważniejszym, bo każda wymiana myśli jest w pewien sposób najważniejsza.

Nie jest to mój typowo zakręcony artykuł, ale chyba wystarczy na ostatnią maturalną prostą.

Czytelniku!

Tak, Ty. Patrzę ci się teraz prosto w oczy. Prościutko.

Przewiercam twoją duszę jak wzrok nauczyciela, gdy nie masz akurat tego jednego zadania

z pracy domowej. Przeczytaj chociaż jeden z moich poprzednich artykułów.

A Ty, przyszły twórco!

Tak, Ty. Teraz twoja kolej. Nie uciekniesz!

Do Ciebie tylko taka maciupeńka prośba: TWÓRZ i rób to, co kochasz. Nie musisz się spieszyć, ale gdy nadarzy się chwila weny – wykorzystaj ją.

Ten tekst brzmi, jakbym odchodziła z tego świata, a ja tylko kończę Zamoya.

Memento matura.

Metro na Gocławiu teraz!!??

Od lat przez władze Warszawy planowana jest rozbudowa stołecznej sieci metra. Najbardziej kontrowersyjny jest pomysł trasy trzeciej, czyli najbliższej w realizacji spośród nowych linii. Miałaby ona brać początek na stacji Stadion Narodowy i ciągnąć przez Gocław aż na Mokotów, gdzie na Racławickiej łączyłaby się z M1, a na niepowstałej jeszcze stacji Żwirki i Wigury następną nową linią, M4. Interesującym faktem jest, że dla mieszkańców rzeczonego Gocławia szybszą opcją dotarcia do centrum byłoby skorzystanie z planowanej linii tramwajowej. Pewnym problemem do rozwiązania przy jego budowie byłaby przepustowość i tak już porządnie eksploatowanego mostu Poniatowskiego, ale jako (co nikogo nie powinno dziwić) tańszy od metra wybór, byłby mimo to zdecydowanie lepszym rozwiązaniem.

Jednak „najlepszym" pomysłem jest budowa zarówno tramwaju, jak i M3 na raz. I to dosłownie na raz. Początek wielokrotnie przekładanej realizacji pierwszej inwestycji jest planowany na rok 2030, a drugiej – na rok 2028. Chcę jeszcze tylko zobaczyć prezydenta Warszawy wczesnych lat 30. otwierającego M3 i tramwaj na Gocław jednego dnia. Piękny byłby to widok.

Kolejnym aspektem poruszanym przez osoby krytykujące plan M3 w istniejącej formie jest przewidywany ruch pasażerski na niej. Okazuje się, że to czwarta, a nie trzecia z linii jest przez mieszkańców pilniej oczekiwana. Zgodnie z analizą ekspertów na M4 liczba pasażerów na godzinę byłaby nawet trzykrotnie większa niż na M3. Co gorsza, nawet na M5 byłaby ona większa. W ogóle, zgodnie z szacowaniami, M4 miałaby być użytkowaną najbardziej linią, a M3 – najsłabiej. Pojawia się więc pytanie – dlaczego? Dlaczego miasto jako pierwszą chce i będzie realizować najmniej opłacalną z linii? Przynajmniej najmniej opłacalną dla warszawiaków (przepraszam: dla warszawianek i warszawiaków).

Każda z tych linii, także trzecia, broni się. jest efektywna i ma dobre wskaźniki. Inaczej nie byłoby można liczyć na wsparcie unijne. Prawdą jest, że linie mają inne wskaźniki. Będziemy realizować je w kolejności, by była kontynuacja znanych już założeń, które nam towarzyszyły od kilkunastu lat. Nie możemy wyrzucić wszystkiego do kosza. Nierozsądne byłoby dokonywać zmian o 180 stopni.

Wątpię, że taka wypowiedź obecnego prezydenta Warszawy, Rafała Trzaskowskiego, cokolwiek komukolwiek wyjaśnia. Raczej jest typowym dla polityków gadaniem o niczym w celu odpowiedzenia na każde, tylko nie na zadane pytanie. Potwierdza to tezę o bezsensowności tego projektu, przynajmniej bezsensowności jego realizacji w tym momencie, przed M4 i M5. Ale jednak musi być jakiś powód. Myślę, że nikt chociaż przeciętnie inteligentny nie będzie realizował wartej 10 miliardów inwestycji bez widocznej korzyści dla siebie. Sęk w tym (i nie chodzi tu o kapitana teamu Rabyte), że dla siebie, a nie dla wszystkich. Tu szukają odpowiedzi pasjonaci transportu publicznego, którym moim skromnym zdaniem należy ufać bardziej niż cenzurowanym przez media ekspertom, a tym bardziej politykom skupionym jedynie na własnym sukcesie, a nie dobru ogółu (przynajmniej tym grającym istotne role w państwie (nawet kolega z Białorusi, gdzie sytuacja polityczna, lekko mówiąc, do najłatwiejszych nie należy, był zdziwiony priorytetami polskich dygnitarzy)).

A więc owi pasjonaci twierdzą, że budowa M3 w tym, a nie innym terminie jest pokłosiem „umów" z deweloperami „zawartych" już kilka, a nawet więcej lat temu. Jakby im jeszcze pieniędzy brakowało. Wiedząc o planach tak wielkiej inwestycji, jaką niewątpliwie jest metro na Pradze-Południe, mieli okazję wykupić tam sobie tanie działki pod budowę budynków mieszkalnych (obecnie tam prawie nic nie ma – przykład: stacja Gościniec – pod względem transportu – 0/10, a zagęszczenia ludności w okolicy – 1/10 w skali Awizonosza), a gdy M3 powstanie, będą sprzedawać nieruchomości po bardzo wysokich cenach (chociażby na Bródnie ceny mieszkań znacząco wzrosły po budowie tamtejszego odcinku M2).

I to tylko jeden, ale jakże wpływający na życie mieszkańców stolicy, przykład, że nasze społeczeństwo (i to nie tylko na naj-

wyższych szczeblach, i nie tylko nasze) dostosowuje się we wszystkim do silniejszych, ponieważ za ich pośrednictwem może zawsze uszczknąć coś dla siebie. We wszystkim oprócz edukacji. Tylko w tej dziedzinie myśli się o „biednych dzieciach, katowanych niewyobrażalnym poziomem matematyki w podstawówkach". A potem nauczyciele w nawet bardzo dobrych liceach doznają dysonansu poznawczego, gdy muszą uczyć osobniki niepotrafiące wykonywać działań na ułamkach, mimo niemal stuprocentowego wyniku z tego przedmiotu na egzaminie ósmoklasisty. Czy tylko ja mam wrażenie, że wszystko działa u nas na odwrót?

https://www.youtube.com/watch?v=IoeHAZYmVl0&t=5106s

https://umap.openstreetmap.fr/pl/map/metro-warszawskie-2050_875451#13/52.2167/21.1077

https://www.transport-publiczny.pl/wiadomosci/warszawa-z-planem-komunikacji-do-2050-r-nowe-linie-metra-i-tramwajowe-77162.html

Żadnych więcej żab

Nigdy nie lubiłem żab. Nie żebym miał coś konkretnego przeciwko płazom samym w sobie, ale chyba każdy by się czuł nieswojo, jeśli regularnie spadałyby one z nieba.

Co ciekawe, deszcze te składały się zawsze z liczby mnogiej żab – nie zdarzyło się, by spadła na raz tylko jedna. Nikt nie widział także wśród nich ani jednej ropuchy albo traszki. Wśród wielu teorii dotyczących istoty tego zjawiska, z którymi miałem okazję się zetknąć, żadna nie próbowała podważać jego naturalności. Wszyscy badacze jednogłośnie uznawali deszcze za zwykłe zjawisko pogodowe, spierali się jedynie o jego rolę w środowisku oraz znaczenie dla ludzkości. W czasach najintensywniejszych badań poczyniono najdziwniejsze obserwacje dotyczące cech pozwalających odróżnić żaby od reszty płazów, a także zwierząt w ogólności, w tym jedną, którą do dziś uważam za szczególnie intrygującą, choć równie niestety bezużyteczną.

Żaby (konkretnie w liczbie mnogiej) są zwierzętami możliwie skrajnymi alfabetycznie – zaczynają się ostatnią spółgłoską, po której następują odpowiednio pierwsza samogłoska i spółgłoska, aby zakończyć się... ostatnią samogłoską alfabetu.

W swojej niechęci do tych przedziwnych stworzeń wydawałem się jednak osamotniony – żabie deszcze były przecież zjawiskiem znanym od wieków. Analizy starożytnych zapisków sugerowały wręcz, że ludzkość nie pamięta czasów sprzed jego początku, a biorąc pod uwagę, że płazy pojawiły się na tej planecie o wiele wcześniej od człekokształtnych, nie powinno to nikogo dziwić.

Zmierzchało już, gdy o mój kaptur uderzyła pierwsza żaba. Wzdrygnąłem się i przyspieszyłem kroku, omal nie wpadając na idącego przede mną jegomościa. Wyczuwając czyjąś obecność za plecami, przechodzień w płaszczu z rybiej łuski odwrócił się. Zaskoczony również stanąłem, przyglądając mu się uważnie. Po jego ramieniu powoli zsuwała się wyjątkowo okazała żaba, a kolejna właśnie wpadła mu do kieszeni, zdawał się jednak kompletnie je ignorować.

Patrząc mi głęboko w oczy, jegomość wysunął spod płaszcza zaciśniętą dłoń. Gdy znalazła się w połowie odległości między nami, powoli rozluźnił palce, pozwalając trzymanemu przedmiotowi upaść na ziemię. Zamortyzowane przez pechową żabę uderzenie o bruk utonęło w nieustannym stukocie jej spadających przyjaciół. Schowawszy twarz w czeluściach kaptura, tajemniczy człowiek cofnął rękę i odszedł, zostawiając mnie skonfundowanego na środku ulicy.

Gdy tylko jegomość w migotliwym płaszczu zniknął za rogiem, podniosłem zostawiony przez niego obiekt. Jak na zabłoconą szklaną kulkę przedmiot okazał się wyjątkowo ciężki. Oczyściłem ją, po czym obejrzałem na tyle dokładnie, na ile było to w wieczornym półmroku możliwe. Cały czas padało żabami, schowałem więc zdobycz do kieszeni i ruszyłem w stronę domu, z każdym krokiem coraz bardziej odczuwając jej ciężar. Obawa o stan mojego płaszcza prędko zmusiła mnie jednak do wyciągnięcia kulki, przez co większość drogi przebyłem, kryjąc ją w dłoni.

Tej nocy śniłem o świecie bez żab – to znaczy bez żab spadających z nieba.

Wczesnym rankiem na moim progu pojawił się płaszcz z rybiej łuski, identyczny jak ten, w który odziany był jegomość dnia poprzedniego. Podniosłem go – jak na swoją grubość ważył zadziwiająco niewiele. Zerknąłem przez ramię na kulkę. Wyglądała zwyczajnie i nic nie wskazywało na to, by z płaszczem łączyło ją coś poza tamtym człowiekiem. Na ulicy również nie widać było niczego podejrzanego, a w szczególności nie wypatrzyłem nigdzie jegomościa. Mimo to zamknąłem drzwi oraz pozatrzaskiwałem okiennice przed przystąpieniem w świetle świecy do dokładniejszych oględzin otrzymanego ubioru.

Oprócz idealnie wypolerowanej rybiej łuski płaszcz wyróżniał się tajemniczą okrągłą kieszonką, niestety idealnie pasującą rozmiarami do szklanej kulki. Zaczynało mi się to wszystko coraz mniej podobać. Schowałem płaszcz wraz z kulką – znów była ciężka – na dno stojącej przy moim łóżku skrzyni, po czym z powrotem wpuściłem do pomieszczenia światło.

Tym razem na szczęście padał zwykły deszcz. Uradowany owinąłem się szczelnie własnym, na szczęście nie zmienionym magicznie w rybią łuskę płaszczem i wyszedłem na ulicę. Przez szum prawdziwych kropel docierały do moich uszu dźwięki miasta. Przestrzeń powoli się zaludniała, a wraz z gęstniejącym tłumem wracał mój spokój.

Wszedłem do swojego warsztatu. Czekał mnie kolejny dzień konstruowania misternych modeli zwierząt dla ludzi, których pewnie stać było na zakup płaszcza z rybiej łuski bez chwili refleksji. A ponieważ z czegoś trzeba żyć, w większości składałem znienawidzone przeze siebie żaby – wszyscy zdawali się te spadające z nieba stworzenia uwielbiać.

Nie tracąc więcej czasu na rozmyślania zabrałem się do pracy. Skupienie pozwoliło mi zapomnieć o tajemniczym człowieku z dnia poprzedniego do momentu, gdy ten sam nie znalazł mojego warsztatu, wytrącając mnie z równowagi mignięciem płaszcza w wejściu.

Nim zdążyłem wstać, by go odprawić, na progu leżał już tylko płaszcz z rybiej łuski... z wypełnioną kieszonką.

Zbulwersowany, rzuciłem niechciane okrycie między niedokończone modele – czy też raczej spróbowałem rzucić, nagle stało się bowiem niezwykle ciężkie. Upadło na ziemię u moich stóp. Spiorunowałem je wzrokiem. Rybie łuski złośliwie migotały w promieniach słońca, nie dając się ruszyć nawet kopnięciem. W odpowiedzi na tę rażącą niesubordynację przedmiotu – mam nadzieję – martwego zakończyłem pracę i zamknąłem warsztat na cztery spusty, sprawdziwszy jeszcze, czy płaszcz na pewno pozostał w środku. Kwestię pozbycia się tego problematycznego ubioru pozostawiłem na następny dzień, ten miał jednak nieco inne zdanie na ten temat – tym razem nieproszony pojawił się na moim progu już tego samego wieczoru.

Nie znalazłszy kulki w dedykowanej kieszonce, odetchnąłem z ulgą. Zobowiązany nagrodzić płaszcz, powiesiłem go kulturalnie na wieszaku. W końcu zasłużył na ludzkie traktowanie – w którym momencie zacząłem traktować go jak żywą istotę? Ta sytuacja już dawno przestała być zabawna... Nie powinienem myśleć w ten sposób o żadnym przedmiocie, choćby i płaszczem z rybiej łuski był.

Ze snów o świecie bez żabich deszczy wyrwał mnie wzrok jegomościa sprzed dwóch dni. Siedział po przeciwnej stronie pomieszczenia, przypatrując mi się spokojnie.

– Nie nosisz swojego płaszcza – zaczął, gdy tylko otworzyłem oczy. – Na dodatek zapomniałeś go dwa razy w ciągu jednego dnia.

Milczałem. Jegomość wciąż mnie obserwował.

– Jest teraz twój – ściągnął okrycie z wieszaka i rzucił nim we mnie – podniosłeś go z własnego progu przecież, a więc prezent, nazwijmy go tak, został zaakceptowany. A to... – delikatnie odłożył kulkę na stół – to chwilowo także należy do ciebie. Obchodź się z nią ostrożnie, nie chcemy przecież końca świata.

– Końca świata?

– Czyli jednak potrafisz mówić – przez jego twarz przeleciał delikatny uśmiech. – Och, zapomnij, że o tym wspomniałem – zreflektował się – to tylko.. taki prezent na przechowanie.

– Nie akceptowałem nic – odegnałem resztki snu. Powoli odzyskiwałem jasność umysłu – dlaczego miałbym chcieć którąkolwiek z tych rzeczy?

– Nie akceptowałeś? Cóż więc skłoniło cię do podniesienia, a nawet zabrania, upuszczonej przeze mnie kulki? – Jegomość zerknął na mnie z politowaniem – przecież gdybyś jej nie chciał, to byś ją zostawił, a być może wręcz w ogóle nie brał do ręki. Płaszcz zaś, który należy ci się z faktu posiadania przez ciebie kulki, zgarnąłeś przecież z progu i zniknąłeś z nim w domu. Nie wyrzuciłeś go. To zdecydowanie nie wygląda dla mnie jak odmowa przyjęcia prezentów.

Nie uznałem za stosowne odpowiedzieć.

– No cóż. Ale ten zabieram ze sobą – urażony jegomość skierował się ku wyjściu, chwytając po drodze mój płaszcz. – Nie będzie ci już potrzebny – zatrzasnął drzwi, nim zdążyłem się sprzeciwić.

Nie mając wyboru założyłem pozostawione mi okrycie i wyszedłem na ulicę z nadzieją, że tłum odsunie ode mnie niepokój pozostały po porannym wtargnięciu. Migotliwy płaszcz natychmiast ściągnął na mnie uwagę przechodniów, choć część obserwowała coś znajdującego się za mną. Przyspieszyłem kroku, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do najbliższego krawca – zdecydowanie potrzebowałem nowego normalnego płaszcza. Wzrok tłumu zdawał się wciąż jednak za mną podążać – nawet tych, którzy nie patrzyli wprost na mnie.

Odwróciłem się, odkrywając z przerażeniem, że moim śladem, niby gnana wirem emanujących ze mnie emocji, toczyła się otrzymana od jegomościa kulka. Zrezygnowany schowałem ją do okrągłej kieszeni, by choć odrobinę zmalała poświęcana mi uwaga.

Zaczęło padać żabami, ukryłem się więc w przepastnym kapturze. Jedno musiałem jegomościowi przyznać – rybia łuska naprawdę skutecznie chroniła przed niezdolnymi do utrzymania się na niej płazami, nadal jednak nie było to przyjemne doświadczenie. Z każdą spadłą żabą kulka zdawała się ciążyć mi coraz bardziej, aż nie sposób było jej ignorować. W gęstniejącym mroku na ścianach okolicznych budynków zatańczyły kolorowe refleksy. Zgasły, po czym znów mignęły. Niebo znikło, zastąpione widokiem spadających z niego płazów. Po chwili opad przesłonił nawet stojące wokół mnie mury. W poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu otaczającego mnie miasta spojrzałem pod nogi – czy też raczej w kierunku, w którym bym się ich spodziewał, pochłonięte zostały bowiem przez morze spadłych żab.

Przeszył mnie dreszcz. Mimo grubego płaszcza zacząłem drżeć z zimna. Ostatnie ślady słońca znikły, pozostawiając mnie zdezorientowanego pośród wiru spadających żab, te jednak rozbłysły kolorami. Oślepiony nagłym wybuchem jasności powoli otworzyłem oczy, deszcz jednak bynajmniej się nie skończył. Żaby lśniły w dzikim blasku rybich łusek. Z każdą sekundą barwy przybierały na sile, a wraz z nimi ogarniał mnie coraz dotkliwszy ziąb. Ciężar kulki ściągnął mnie na ziemię.

Sięgnąłem do kieszeni. Gdy tylko kulka dotknęła mojej skóry, zrozumiałem swój błąd. Było już jednak za późno. Nie byłem w stanie wypuścić jej z poparzonych palców, jak gdyby przejęła nad nimi kontrolę. Płaszcz zgasł i z powrotem zapanowała ciemność, rozpraszana jedynie blaskiem dobiegającym z trzymanej przeze mnie kulki. Przyłożyłem ją do płaszcza, a ten rozbłysnął ponownie. Odsunąłem – znów zrobiło się ciemno.

W przejawie czegoś na kształt niecierpliwości kulka błysnęła jaśniej. Poczułem płynącą od niej moc, uwolniwszy się jednocześnie z oziębłego ciała. Kulka jakby czekała, by wykorzystać jej potencjał. Nie zastanawiałem się dłużej.

Pierwszy przetasowałem alfabet. Żaby straciły swoją wyjątkowość, stając się zwykłymi zwierzętami.

Następnie spuściłem deszcz ropuch, wśród nich ukrywając dokładnie jedną żabę. Symboliczne liczby pozostałych płazów zakończyły żabi monopol na transport powietrzny.

Moją trzecią decyzją było zakończenie płazich deszczy raz na zawsze.

Moc wciąż płynęła, jako czwartych naprawiłem więc ludzi – wyleczyłem ich z fascynacji żabami.

W kolejnym kroku pozbyłem się makulatury. Żadna literatura dotycząca płazich deszczy nie była już przecież potrzebna.

Na koniec podpaliłem wszystkie skonstruowane przez siebie modele żab i patrzyłem, jak płoną.

Z obserwacji wyrwany zostałem przez czyjąś rękę na moim ramieniu.

– Kto powiedział, że prezent był dla ciebie? Dostałeś go tylko na przechowanie – wyciągnął zimną kulkę z mojej dłoni – mówiłem zresztą, żebyś obchodził się z nią ostrożnie.

Znowu wyczułem spadające żaby. Wykreowany przeze mnie świat odszedł wraz z kulką.

Jegomość zniknął. Pochłonęła mnie pustka, a wieczność bez czasu powitała z otwartymi ramionami.

O wymiar wyżej - Rozdział III

Moduł błąka się po korytarzach budynku szkolnego bez bliżej określonego celu. Po drodze zauważa kilka rzeczy, które przykuwają jego uwagę – porzucona pod stolikiem figurka z drewna z czymś przypominającym znany mu “+” na jednym z ciągle przyprawiających go jeszcze o zachwyt trójwymiarowych końców, niepotrzebne stoły blokujące według Moduła drogę, hałas piłeczek pingpongowych uderzających o stół. Wszystkie rzeczy uznane przez niego jako wady skrupulatnie usuwał, co wzbudziło zdumienie uczniów, zastanawiających się nad działaniem jakiejś nieczystej siły. Poznikało kilkanaście kamer z różnych pomieszczeń szkolnych, co wywołało cichy entuzjazm codziennych ich gości. Skończyły się też zabawy w kotka i myszkę na najniższym z poziomów tego jakże uwielbianego przez wszystkich budynku edukacyjnego zwanego w języku potocznym „szkołą”. Pewne minusopodobne przedmioty nieoczekiwanie opuściły plecaki najmłodszych uczestników miejscowego życia (szczególnie najmłodszych, choć nie tylko), w wyniku czego zabawy z najstarszymi utraciły swój dawny, uwielbiany przez nich charakter.

Moduł po długich wędrówkach przyzwyczaił się do ostrego dźwięku, który najwyraźniej był tu normą, jakimś paranormalnym zjawiskiem, które przez pierwsze chwile zwiastuje grozę, ale w rzeczywistości jest przydatnym elementem natury tego miejsca. Na brzmienie tego dźwięku z mniejszych prostopadłościennych pomieszczeń wybiegały dziwne dwunożne stworzenia, kto wie, w jakich intencjach – zatem rozsądne było usłuchać ostrzeżenia i na krótki czas schować się w jakieś bezpieczne miejsce, by uniknąć nieprzyjemności pierwszych chwil spędzonych w nowym środowisku.

Nie jest tu tak źle! Poza tymi stadami lokalnych bytów da się wytrwać. Nawet znajduję swoje umiejętności jako przydatne, ulepszam to miejsce w miarę swoich możliwości. A może jednak tak nie jest? Może to, co robię, w rzeczywistości narusza fundamentalne prawa, na których opiera się ta nowa rzeczywistość? Skąd mam wiedzieć, co jest uznawane za wadę lub zaletę? W moim matematycznym świecie było to takie łatwe! Jest pozioma kreska przed liczbą – źle, nie ma – dobrze. Jakie cechy decydują o tym tutaj? Nie miałem czasu, by pomyśleć nad przekonwertowaniem mojego mózgu z dwuwymiarowego na trójwymiarowy. Niestety teraz ponoszę tego konsekwencje. Choć chyba każdy się ze mną zgodzi – lepiej żyć w swoim ograniczeniu niż być po niewidocznej dla społeczeństwa stronie grobowej deski. Nawet bym wtedy nie wiedział o istnieniu „grobowej deski”. (Pomińmy Wertera, nigdy nie będzie mi dane odczuć tego, co on.)

Potrzebuję mentora, nauczyciela. Kogoś, kto do-

brze zna ten świat i umie mi go wyjaśnić w prosty i zrozumiały sposób. Gdzie ja znajdę takiego przyjaciela?

Pogrążony w swych myślach, Moduł zawędrował do sali 301, która była łudząco podobna do miejsca, gdzie uprzednio swoją trójwymiarową postać poznał. Tym razem jednak była pusta, z jednym wyjątkiem. Zniknęli wszyscy członkowie grup nazwanych przez naszego bohatera „stadami lokalnych bytów", lecz pozostał jeden, różniący się jednak od nich znacznie, osobnik.

Może znajdę w nim tego jednego rozsądnego wśród zgrai tych dwunożnych istot. Nie wygląda, jakby miał pociąg do tego typu aktywności, jak deptanie Modułów.

Moduł rozglądał się po sali, szukając czegoś, na czym można zawiesić wzrok na dłużej niż trzy sekundy. Wzrok jego napotkał wiszącą na ścianie głowę jelenia przytrzymującą kartkę z napisem: „Pierwiastkowałem równanie stronami". Moduł, zszokowany czymś tak nienaturalnym i obcym, zdecydował się usunąć ową głowę. Rzecz jasna, pisać i czytać nie umiał. Nic nieznacząca (zdaniem naszego bohatera) kartka spadła na podłogę.

– Ja bym na twoim miejscu tego nie robił – odezwał się z kąta sali jedyny poza Modułem żywy świadek kolejnego „aktu usuwania minusopodobnych osobliwości".

Moduł odwrócił się gwałtownie, zaskoczony obcym głosem w pomieszczeniu. Do jego świadomości powoli docierał oczywisty fakt: był obserwowany. W Module zaczęły działać pierwotne instynkty, które wyrobił sobie podczas długiego przebywania w ograniczonej, dwuwymiarowej przestrzeni. Przestrzeni, która w każdej chwili mogła zażądać od jego matematycznej postaci najwyższej sprawności wrodzonego, analitycznego umysłu, zupełnie jak podczas jednej z wypraw w celu utworzenia drogi ucieczki ze świata dwóch wymiarów.

Nawet teraz nie był w pełni sił, bowiem nadal usiłował zrozumieć trzy wymiary, przestrzeń pozornie niedorzeczną, a jednak na swój sposób interesującą i wymagającą. Obracając się, jego przestrzenny byt napotkał przeszkodę w postaci prostopadłościennej figury złączonej z cieńszymi figurami o podobnych właściwościach. Moduł miał naturę naukowca, zatem szybko się uczył, a jego słuch nie pozostawał głuchy na swobodne wymiany informacji miejscowych. Dowiedział się z tych rozmów, że ów obiekt ma swoją ustaloną w tym społeczeństwie dziwnych istot nazwę – „ławka". Osobiście uznawał za zbędne utrzymywanie ławek w takiej liczbie w jednym, niewielkim pomieszczeniu zwanym przez miejscowych salą. Wielokrotnie planował zmniejszenie liczby wyżej wspomnianych obiektów, ale zawsze uznawał to za zbyt poważną zmianę. I teraz zemściło się to na nim w postaci działania podstawowej siły nowego świata – grawitacji.

Moduł, mimo bolesnego zderzenia z ziemią, nowym dla niego punktem odniesienia, szybko podniósł wzrok i ujrzał stworzenie. Już wcześniej zawędrował do miejsca wypełnionego po brzegi mniejszymi prostopadłościanami, które dziwnie się rozkładały i szeleściły. Miejscowi nazywali je „książkami". Były one dla Modułu istnym błogosławieństwem, albowiem stanowiły skarbnicę wiedzy w trzech wymiarach, gdzie w dwóch były nimi równania. Z owych książek dowiedział się, czym jest stworzenie obecnie zajmujące pozycję przed jego obliczem. Zwało się ono „Słoniem". W tym świecie był symbolem mądrości i siły, które świetnie ze sobą współpracowały. Moduł, podziwiając takie oto „zwierzę zwycięskie", postanowił poprosić go o przyjęcie swojej matematycznej postaci na ucznia mistrza, który miał pomóc odróżnić dobre od złego.

***

Minęły trzy dni odkąd przyjąłem słonia Parametra na swego mistrza. Pomyśleć, że urodziłem się na zwykłej, prymitywnej płaskiej przestrzeni XY w dwuwymiarowym świecie. Ale zostawiłem dom za sobą, przede mną – świat. Nieznany, nowy świat, pełen odmiennych możliwości i innych wartości. Najwyższa pora przyjąć na siebie nową rolę – podobną do poprzedniej z celu, lecz z inną do niego drogą. Lecz wybiegając w przyszłość, należy troszczyć się o przeszłość. Muszę uratować mój dom, mimo jego prymitywnej i agresywnej natury. Nie pozwolę wszystkim moim dawnym kompanom odejść w niebyt. Nie pozwolę.

W międzyczasie błąd Modułu wytknięty przez Parametra, tj. usunięcie głowy nieszczęsnego zwierzęcia, został naprawiony przez ciągle niezrozumianych przez naszego bohatera dwunogów. Kosztowało to ich trochę zachodu, lecz po ogromnej fali matematycznych przestępstw (wprawdzie nieuważanych przez Modułu za coś złego – kto by się przejmował jakimś tam ujemnym rozwiązaniem równania), uznali za stosowne nową jelenią głowę wraz z widniejącą pod nią starą kartką umieścić w danym miejscu jako talizman broniący nerwów biednych matematyków. Cała szkoła była jednak zaniepokojona nagłym zniknięciem poprzedniej głowy. Złodzieja poszukiwano. Nikt nawet nie domyślał się istnienia podobnej Modułowi istoty, mającej dar usuwania minusopodobnych rzeczy i zjawisk. Niepokój potęgowała pamięć o poprzednich zaginięciach, na które wcześniej nikt zbytniej uwagi nie zwracał. Parametr zajmował swoje stałe miejsce w sali 301 i rozważał wszystkie te sprawy w swoim słoniowym sercu. On jeden prócz Modułu znał prawdę, lecz nie uznawał za stosowne się nią z nikim dzielić. Środowisko dwunogów zafrasowane rzekomą działalnością niebezpiecznego przestępcy, Moduł – losem swojej familii i dwuwymiarowego domu. Parametr jako jedyny miał prawo i zachowywał właściwy jedynie mędrcom słoniowego rodu spokój.

***

Hologramy – mit czy hit?

Holografia wywodzi się z fizyki światła. Już w XIX wieku naukowcy badali, w jaki sposób fale świetlne mogą wzmacniać bądź znosić się nawzajem, kiedy są nałożone na siebie. W 1948 roku węgierski fizyk Dennis Gabor opracował teorię sposobu rejestrowania informacji o obiekcie w postaci wzoru, co pozwoliłoby na odtworzenie jego trójwymiarowej postaci. Pomysł był przełomowy, a Gabor otrzymał za niego nagrodę Nobla w 1971 roku. Brakowało jednak technologii odpowiedniej do jego wykonania. Na pierwszy prawdziwy hologram z wykorzystaniem techniki laserowej trzeba było poczekać aż do 1962 roku. Pod koniec XX wieku pojawiła się możliwość holografii komputerowej, która zrewolucjonizowała sposób rejestracji obrazu. Od tamtej pory dziedzina ta prężnie się rozwija, znajdując zastosowanie choćby w medycynie przy trójwymiarowym obrazowaniu narządów czy w telekomunikacji.

Nic więc dziwnego, że reżyserzy i pisarze z nurtu science fiction żywo zainteresowali się tematem, kreując w swojej wyobraźni niesamowite zastosowania dla takiej technologii. W dziełach futurystycznych hologramy są immanentną częścią proponowanej rzeczywistości. W filmie „Ender's Game" hologramy służą do tworzenia precyzyjnego planu bitwy, na bieżąco dostarczającego informacje o położeniu kosmicznej floty. Hologramy mają ogromny wpływ na czas reakcji dowódcy i na efektywność jego decyzji – zwłaszcza w przestrzeni kosmicznej, gdzie trzeba brać pod uwagę możliwość swobodnego ruchu w trzecim wymiarze.

Kolejnym zastosowaniem hologramu jest promowanie produktów. W filmie „Blade Runner 2049" w przestrzeni publicznej futurystycznego Los Angeles dominują ogromne, trójwymiarowe reklamy, namawiające na zakup wyrobów tego czy innego sprzedawcy. Hologramy dają marketingowcom nowe możliwości. Wystarczy przywołać scenę z „Powrotu do przyszłości II", gdzie głównego bohatera – Marty'ego „atakuje" rekin – reklama filmu.

Nie można również zapomnieć o „klasycznym klasyku" – „Gwiezdne wojny" (całe uniwersum), gdzie hologramy są na porządku dziennym i na dobrą sprawę zastępują mieszkańcom galaktyki telefon. Wykorzystuje się je do komunikacji na odległość, czy to w drobnych sprawach, czy w decyzjach strategicznych, takich jak meldunek oficera w piątej części sagi podczas bitwy o Hoth.

Jakie są perspektywy na uzyskanie takiego efektu w naszych czasach? Wygląda to bardziej obiecująco, niż można by przypuszczać. Przykładem takiej technologii są hologramy wolumetryczne, produkowane przez firmę Looking Glass Factory. Wyświetlacz tworzy wiele warstw tego samego obrazu na sobie, tworząc iluzję trójwymiarowego obiektu. Firma naprawdę poczyniła na tym polu ogromne postępy – stworzyli między innymi 65. calowy wyświetlacz dający efekt hologramu oraz możliwość wysyłania innym takiego obrazu. Brzmi coraz bardziej jak „Star Wars"!

Innym przykładem jest Aerial Burton i ich technologia pozwalająca na wyświetlanie tekstu bezpośrednio w powietrzu. Działa to w całkiem prosty sposób – lasery o wysokiej intensywności precyzyjnie skupiają energię w pożądanym miejscu. Jonizują one cząsteczki tlenu i azotu, tworząc plazmę świecącą w powietrzu. Proste, prawda?

Nie jest to trójwymiarowy obraz, ale nie taka jest jego funkcja. Aerial Burton szukają zastosowania tej technologii w ratowaniu ludności cywilnej podczas klęsk żywiołowych. Wielki, świecący napis na niebie wskazywałby drogę do bezpiecznego miejsca, na przykład punktu ewakuacyjnego (chociaż w panice i strachu nawet wielki świecący napis dla niektórych to za mało…).

Podsumowując, trzeba powiedzieć, że technologia hologramów już się pojawiła – może nie na poziomie dorównującym dziełom science fiction, ale lepsze to niż nic. Jak to będzie wyglądać w przyszłości? Czy hologramy będą działały jak wyskakujące okienka w Internecie, czy będą ściśle regulowane prawnie? Jak wpłyną na nasze codzienne życie? Czy będą kolejnym krokiem w komunikacji online i płaski obraz naszego znajomego na ekranie messengera zostanie zastąpiony przez jego trójwymiarowy hologram rozparty wygodnie w fotelu w kącie naszego pokoju?